

CHRYSTUS  
ŻYCIEM  
BŁ. COLUMBY  
MARMIONA



MAŁGORZATA  
BORKOWSKA OSB

CHRYSTUS  
ŻYCIEM  
BŁ. COLUMBY  
MARMIONA

---

BIOGRAFIA  
I WYBÓR  
TEKSTÓW



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

*Projekt okładki:*  
Jacek Zelek

*Redakcja:*  
Włodzimierz Zatorski OSB

*Imprimi potest:* Opactwo Benedyktynów  
Tyniec, dnia 6.04.2018  
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie: Kraków 2018

ISBN 978-83-7354-787-2

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków  
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95  
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl  
zamowienia@tyniec.com.pl  
www.tyniec.com.pl

*Druk i oprawa:*  
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
druk@tyniec.com.pl

# SPIS TREŚCI

Biografia . . . . .	7
Po prostu chrześcijanin . . . . .	7
Pierwsza ojczyzna . . . . .	9
Dzieciństwo. . . . .	16
Kleryk. . . . .	19
Ordo monasticus . . . . .	25
Wikary . . . . .	35
Profesor . . . . .	38
Druga ojczyzna . . . . .	47
Nowicjusz . . . . .	51
Mnich . . . . .	62
Podprzeor, przeor. . . . .	73
Opat . . . . .	89
Mnisi rozumieją mnichów . . . . .	101
Belgia pod okupacją . . . . .	119
Ślady wojny... i jeszcze raz wojna . . . . .	124
Budowa nowej kongregacji . . . . .	135
Ostatnie trudy. . . . .	141
Ostatnie żniwo . . . . .	151
Ostatnie dni . . . . .	158
Antologia . . . . .	163
Ze zbioru listów . . . . .	163
List z 18 lipca 1907 do pewnego karmelity. . . . .	163
Z książki <i>Chrystus życiem duszy</i> . . . . .	165
IV. Chrystus, przyczyna sprawcza wszelkiej łaski. . . . .	165
Z książki <i>Chrystus jako wzór dla mnicha</i> . . . . .	192
I. „Szukać Boga” . . . . .	192

## Spis treści

II. Za przewodem Chrystusa . . . . .	219
V. Haec est victoria quae vincit mundum: fides vestra . . . . .	255
VII. Narzędzia dobrych uczynków . . . . .	284
Bibliografia . . . . .	327

# BIOGRAFIA

## PO PROSTU CHRZEŚCIJANIN

Był sługą, uczniem, czcicielem, radosnym wielbicielem Chrystusa. Takie to proste. Jak pierwotni mnisi, nie znali szczegółowych „nabożeństw”, ale raczej całościową pobożność, skoncentrowaną na osobie Pana – tak i on, czerpiąc z myśli biblijnej w duchu jej interpretacji przez teologię Kościoła, nie znał nic ważniejszego ani ciekawszego nad postać Chrystusa, kontakt z Chrystusem, dzieło Chrystusa przedłużające się w nas. Chrystus nie był dla niego ani tylko postacią z przeszłości, ani tylko Królem w niebie, ale wszechobecnym, żywym i umiłowanym Zbawicielem, który prowadzi tu i teraz swoje dzieło, dzieło zbawienia nas i uczynienia nas dziećmi Bożymi. Dogmat nie był dla niego sztywnym ograniczeniem myśli ludzkiej, ale godnym radosnego podziwu przekładem na język ludzki tego, co Bóg nam o Sobie objawia. Teologia nie była dla niego intelektualną zabawą, ale umotywowaniem adoracji, a to się tak udzielało jego studentom, że nieraz szli prosto z wykładu na modlitwę, odruchowo, na mocy zwyczajnej konsekwencji. Liturgia nie była dla niego obrzędem, ale udziałem w odwiecznej miłości Ojca i Syna, danym człowiekowi już tu na ziemi pod osłoną znaków, a w wieczności

bez osłony. Był więc – takie to proste – w pełni i z całego serca chrześcijaninem, wyznawcą Chrystusa, i niczym poza tym: mnichem był przecież tylko po to, żeby chrześcijaninem być jak najpełniejszym, gdyż streszczenie całej reguły św. Benedykta widział w słowach „Nic nie przedkładać nad miłość Chrystusa”. A kiedy to, czym żył i czego uczył, nabrało rozgłosu przez jego książki, świat katolicki stanął zdumiony... bo znowu przypomniano nam to, co najważniejsze, a na czym pozwoliliśmy już osiąść warstwowemu kurzu: nie w teologii oczywiście, ale w życiu modlitwy. Sto lat po szczytowym okresie jego działalności, blisko osiemdziesiąt lat po jego śmierci, trudno już dzisiaj wyobrazić sobie, jakim radosnym wstrząsem był ten jego prorocki chrystocentryzm dla ludzi jemu współczesnych. Papieże pisali dziękczynne listy, a w świecie od Portugalii aż po Japonię tłumacze na wyścigi przekładali książki Marmiona na swoje języki: *Chrystus życiem duszy... Chrystus w swoich tajemnicach... Chrystus jako wzór dla mnicha... Sponsa Verbi...* Później, już po jego śmierci, wydano z jego papierów liczne inne, mniejsze lub większe dzieła i zbiory, w tym antologię korespondencji (*Zjednoczenie z Bogiem*) oraz cykl nauk zatytułowany *Chrystus jako wzór dla kapłana*.

Był całym sercem oddany Chrystusowi, a jednocześnie i cały dla bliźnich. Miłość nie była u niego teorią: przekładała się na szczerą troskę i czynne poświęcenie, czy chodziło o to, żeby duszom ludzkim służyć konferencjami, słuchaniem spowiedzi, pracą kapłańską albo profesorską – czy też o to, żeby pofatygować się i za-



łatwić jakąś sprawę czysto doczesną, którą doskonale mógłby załatwić ktoś inny, mniej dostoyny i mniej rozrywany, tylko że akurat takiego kogoś nie było pod ręką. Sam zresztą nigdy nie dostrzegał, tym bardziej i nie celebrował swego dostojeństwa: po prostu zbyt wiele miał poczucia humoru i autentycznej, nie deklarowanej pokory. W dodatku, jak wielu tłuściochów, miał zawsze gotowy pretekst do żartów z siebie samego: znajdował go w swojej tuszy.

Był synem Francuzki i Irlandczyka, ale Irlandczyka wychowanego w języku i kulturze angielskiej. Został mnichem – później opatem – w Belgii w klasztorze obsadzonym przez Niemców. Kochał i rozumiał ich wszystkich: Irlandczyków i Anglików, Francuzów, Niemców i Belgów. A to go czyniło szczególnie podatnym na rany, ilekroć oni wzajemnie dla siebie nie znajdowali zrozumienia lub nawet między sobą wojowali. Był urodzonym budowniczym mostów między ludźmi, ale okoliczności zmusiły go do tego, żeby raz i drugi wziąć udział właśnie w stawianiu bariery; cierpiał nad tym szczególnie i starał się stawiać ją w taki sposób, żeby przynajmniej innym jak najwięcej bólu oszczędzić.

## PIERWSZA OJCZYŻNA

Józef Marmion urodził się w roku 1858 w Irlandii, w stołecznym Dublinie. To tak, jakby się w tym samym czasie urodził w Warszawie, z tą jednak różnicą, że Warszawa była pod obcą okupacją dopiero od lat sześćdziesięciu, Dublin od siedmiuset. Ale analo-

gii jest mnóstwo. W obu podbitych krajach zdobywcy prowadzili usilną politykę wynarodowienia miejscowej ludności i równie usilną politykę przeciągnięcia jej na swoją religię; prawda, Irlandia miała już wówczas najstraszniejszy, męczeński okres tej ostatniej akcji za sobą, w Polsce zaś w zaborze rosyjskim najgorsze lata miały się dopiero zacząć w niedalekiej przyszłości (po powstaniu styczniowym). Wyobraźmy sobie jednak dziewiętnastowieczną Warszawę, w której wprawdzie cerkwie stałyby puste, gdyż wiary katolickiej mimo wysiłków nie udało narodowi odebrać – ale w której język polski byłby już zapomniany, kojarzony tylko z mową wieśniaków; w której matki do dzieci mówiłyby po rosyjsku, w której po rosyjsku pisaliby Prus i Sienkiewicz... A taka właśnie była sytuacja w Dublinie: w połowie XIX wieku miasta irlandzkie były już od dawna anglojęzyczne, wieś zaś była od roku 1831 usilnie i niestety skutecznie anglicyzowana przez nowy system szkolny. Kultura i literatura celtycka, wyrażająca się w języku irlandzkim (*Gaeilge*), przeżywała właśnie wtedy w Irlandii swój okres najgłębszego zapomnienia. Irlandczycy pozostali wprawdzie sobą, ze wszystkimi cechami narodowego charakteru i ducha celtyckiego, ale ten duch wyrażał już swoje cechy i dążenia, nawet swój bunt, w języku angielskim. W niezbyt dalekiej przyszłości miało się zacząć Odrodzenie Celtyckie, ale i ono potrzebowało słowników, gdyż wyszło z Dublina właśnie, ze świadomego powrotu ludzi wykształconych do swoich korzeni, a nie ze środowisk wiejskich, znających jeszcze wprawdzie lepiej lub gorzej język irlandzki, ale

tak przyciśniętych nędzą, że wszystko musiało ustąpić przed problemem przeżycia. Ten zaś był szczególnie ciężki od lat czterdziestych XIX wieku, kiedy to na kraj spadła klęska głodu, która spowodowała masową emigrację, jedyną zaś odpowiedzią rządu była zaczęta wkrótce potem wielka akcja eksmitowania irlandzkiej wsi. Ziemia była bowiem cała własnością angielskich dziedziców, od których irlandzcy chłopcy mogli ją tylko dzierżawić i którym żadne prawo wówczas jeszcze nie zabraniało takich dzierżawców usuwać, gdy tylko przedstawiali płacić. Rosła więc nędza i rósł niepokój. W tym samym roku, w którym Marmion się urodził, zaczęły się w Irlandii zamachy na mienie, a czasem i na życie angielskich właścicieli ziemskich.

Oczywiście takie bezwzględne dążenie do zniszczenia tożsamości narodowej, samodzielności gospodarczej i (w miarę możliwości) odrębności wiary podbitego narodu wprowadza element stałego niepokoju także w życie zdobywców. Wciąż przecież trzeba tłumić jakieś bunty, wciąż należy obawiać się jeśli nie otwartego powstania, to przynajmniej dywersji lub terroryzmu; wciąż należy uzasadniać historycznie i etycznie swój podbój i swój stan posiadania. U zdobywców wytwarza to wrogość do podbitych, wrogość potęgowaną może przez jakieś wyrzuty politycznego sumienia, które domagają się zagłuszenia; toteż i zagłusza się je przez wykazywanie światu, jak bardzo ów podbity naród jest nikiemny i niegodny normalnych praw ludzkich. W tym właśnie duchu pisał o Polakach Dostojewski i w tym duchu pisał o Irlandczykach Kipling,

a po nim Buchan i inni. Zresztą jeden z najstarszych na świecie przepisów na wykończenie człowieka (lub narodu) brzmi: doprowadzić go najpierw do kresu wytrzymałości psychicznej i poza ten kres, później zaś rozdzierać szaty, lamentując, jak bardzo nie panuje on nad sobą lub nawet do jak niegodnych środków się ucieka. W sytuacji niemożliwości otwartej walki zbrojnej pozostawały do dyspozycji Irlandczyków trzy środki. Jednym była walka parlamentarna, w angielskim parlamencie oczywiście, którą podjęto na dużą skalę w latach siedemdziesiątych, a więc w czasie, gdy Marmion był już klerykiem; drugim totalny bojkot angielskich dziedziców, praw i instytucji, który to bojkot miała za swój program przyjąć pod koniec XIX wieku organizacja *Sinn Fein* (co znaczy „my sami”); trzecim – i najstarszym – terroryzm. Dla porównania: u nas pod zaborem rosyjskim walka parlamentarna była niemożliwa, skoro Rosja nie posiadała parlamentu; bojkotować nie było kogo, skoro (przynajmniej w Królestwie Kongresowym) ziemia pozostawała w większości nadal w rękach polskich; po klęsce powstania styczniowego najpopularniejszym więc programem stała się tzw. praca organiczna, zmierzająca do cichej rekonstrukcji społeczeństwa, poprawy jego bytu i przechowania jego tożsamości w życiu domowym i w miarę możliwości w życiu zawodowym – ale terroryzmu próbowano także, zwłaszcza w kręgach socjalizujących: z rąk polskiego zamachowca zginął przecież car Aleksander II (1881). Oczywiście zarówno w Polsce jak w Irlandii zwolennicy poszczególnych dróg i różnych konkretnych progra-

mów nie rozumieli się wzajemnie, a często nawet się zwalczali.

Okolo roku 1870 liberalny gabinet Gladstone'a przeprowadził wprawdzie rozdział Kościoła anglikańskiego od państwa, co zwłaszcza w Irlandii poprawiło ogromnie sytuację prawną katolików; wydał zakaz samowolnego eksmitowania chłopów, dał im prawa wyborcze i dopuścił katolików na uniwersytety, do kąd przedtem nie mieli wstępu; ale ani nie zdołał poprawić sytuacji gospodarczej, ani też oczywiście nie zwrócił Irlandczykom upragnionej wolności politycznej. Zresztą już w roku 1874 władza wróciła w ręce torysów (premierem został wtedy Disraeli), co nadało polityce angielskiej ponownie rysy dość agresywnie imperialne. Dzieciństwo i młodość Marmiona upływały więc w społeczności udręczonej i rozdartej, ale znajdującej pociechę, umocnienie i gwarancję swojej tożsamości w życiu rodzinnym i w życiu religijnym. Jaką rolę w Irlandii grał wówczas Kościół katolicki, to mogą (poza Irlandczykami) rozumieć tylko Polacy. Był przewodnikiem i ratunkiem, jedynym miejscem bezpiecznym, w wielu kręgach społeczeństwa jedynym właściwie liczącym się autorytetem. A to wszystko nakładało się przecież tylko jako dodatkowa, wtórna motywacja na wrodzoną skłonność duszy celtyckiej do szukania Boga, do stałego z Nim kontaktu. Tradycyjna pobożność celtycka obejmuje całe życie w jego najdrobniejszych szczegółach i wyraża się spontanicznie w poetyckich tekstach modlitewnych, które świat zewnętrzny odkrył dopiero w drugiej połowie XIX wieku, zaczy-

nając od Hebryd, to jest od zagubionych na Atlantyku wysp na północny zachód od Szkocji. Bogactwo duchowe tamtejszych nędzarzy okazało się zdumiewające. Tak oto wieśniaczki, nie wiadomo nawet, czy piśmienne, uczyły tam dzieci modlitwy:

...Matka mówiła nam, żebyśmy w izbie śpiewali poranną pieśń dla Boga tak, jak wysoko w chmurach śpiewa ją skowronek Maryi, a nisko na drzewie – Chrystusowy drozd: oddając Bogu chwałę za spoczynek nocny, za światło dnia i za radość życia. Tłumaczyła, że każde stworzenie, i tu na ziemi, i nisko w oceanie, i w powietrzu nad nami, oddaje chwałę wielkiemu Bogu, Panu wszystkich stworzeń i wszystkich światów, Dawcy sił i błogosławieństw – a my mielibyśmy milczeć?<sup>1</sup>

A drugim tradycyjnym elementem, kształtującym pobożność celtycką, jest jej duch misyjny. Już od wczesnego średniowiecza, od samych początków irlandzkiego chrześcijaństwa, zaznaczyła się gotowość, by złożyć poznanemu wreszcie Bogu tę najwyższą ofiarę, jaką dla Celta jest odejście ze swej rodzinnej, „świętej” wyspy, po to, by dzielić się znajomością Boga z innymi. Stąd praktyka zwana *peregrinatio pro Christo*: ona to zagnała średniowiecznych mnichów celtyckich (w tym świętych: Kolumbę i Kolumbana) na krańce Europy, od Szkocji po tereny dzisiejszej Szwajcarii i Polski. W drugiej zaś połowie XIX wieku jej kontynuacją stało się hasło: „Skoro Anglia nas podbiła, my teraz nawróćmy Anglię!” Mnóstwo irlandzkich księży zaczęło wte-

---

<sup>1</sup> *The Celtic Vision*, E. DE WAAL (wyd.), London 1988, 5.

dy zgłaszać gotowość przejścia do angielskich diecezji, co oczywiście stało się wielką pomocą dla pozbawionych odpowiedniej liczby kleru angielskich biskupów, których zresztą Stolica Apostolska mogła tam oficjalnie mianować dopiero w roku 1850; do dzisiaj jeszcze trwa ta pomoc, choć wymarzonego wielkiego nawrócenia Anglii na katolicyzm „misje” te nie przyniosły. Co jednak jest ważne: żeby rzeczywiście, szczerze i ofiarnie podjąć duszpasterstwo na sąsiedniej wyspie, trzeba było umieć spojrzeć na jej mieszkańców nie jak na wrogów, ciemiężców i najeźdźców, wobec których planuje się ideologiczną dywersję, ale jak na braci, którym się niesie zaproszenie do jednego Kościoła. A to było coś więcej niż skłonność naszej literatury do tworzenia postaci „przyjaciół-Moskali”, takich jak Rykow w *Panu Tadeuszu* czy Major w *Fantazym*.

Takie było więc podstawowe dziedzictwo psychiczne i duchowe społeczności, z której i wśród której Józef Marmion wyrósł. Zdaje się, że francuskie dziedzictwo po matce mniej go ukształtowało; nawet jej ojczystego języka nie nauczył się w dzieciństwie na tyle dobrze, by móc nim władać jak własnym: później, już w Belgii, będzie musiał ten brak nadrabiać. Miał jednak wszelkie prawo dziedziczyć także po niej przynajmniej pewne cechy psychiczne, zapewne więc przekazała mu francuskie poczucie rozsądnej miary, jasność umysłu, logikę wyrazu. Zdawałoby się, że celtycki mistycyzm i francuska logika wykluczają się wzajemnie – ale w nim właśnie utworzyły syntezę szczególnie bogatą.

## DZIECIŃSTWO

Józef Marmion był siódmym z dziewięciorga dzieci Williama Marmiona, zbiedniałego potomka irlandzkiej rodziny szlacheckiej, który w owym czasie pracował jako dość dobrze płatny urzędnik w jednej ze stołecznych firm eksportowych. U nas w tym samym czasie określało się takich eks-ziemian mianem „wysadzonych z siodła”. Jego żona nazywała się Herminia Cordier: córka paryskiego drukarza, miała siostrę zamężną za irlandzkim kupcem i będąc u niej w Dublinie poznała swego przyszłego męża. Dwóch małych synków zmarło im w dzieciństwie – tylko córki chowały się wszystkie cztery zdrowo – i państwo Marmion usilnie modlili się o syna; nie chodziło im jednak o dziedzica nazwiska, ani tym bardziej nie istniejącej już fortuny, skoro z góry, jako wotum, przeznaczali go na księdza. Ani rodzice, ani nikt na świecie nie może komuś *kazać* zostać księdzem, to musi być decyzja własna, takie jest prawo kościelne; ale prawo bywa czasem sobie, a tradycyjny obyczaj sobie, dom zaś państwa Marmion był bardzo tradycyjny, z ogromnym autorytetem ojca i skrupulatnym przestrzeganiem każdego zwyczaju. Kazać wprawdzie nie można było, ale można było ubierać malca od dzieciństwa na czarno i dawać mu na mnóstwo sposobów do zrozumienia, jakiej decyzji się po nim oczekuje. Zupełnie nie wiadomo, co by się stało, gdyby Joe nie zechciał się z tym oczekiwaniem pogodzić: może zwiększono by nacisk – a może zostałyby rodzin-



ną czarną owcą, która zawiodła nadzieje i o której się w domu nie mówi?

Na razie chował się jednak bez większych problemów, niezbyt wprawdzie zdrowo (w dzieciństwie cierpiał często na astmę), ale przynajmniej żył; po nim zjawili się jeszcze dwaj młodsi bracia i również żyli. Atmosfera domu, pomimo panującego tam patriarchalnego ustroju, była serdeczna, pełna autentycznej miłości wszystkich do wszystkich; była to rzeczywista wspólnota, duchowa i materialna zarazem, szkoła wzajemnego uzupełniania się i uświadamiania sobie, jak bardzo wszyscy wszystkich potrzebują. Czyż zresztą Irlandczyk potrafiłby żyć bez tej wspólnoty i wymiany? Są, owszem, w celtyckiej tradycji kościelnej wielkie postacie pustelników, ale oni ze swoich pustelni władali krajem i społeczeństwem, i to o wiele skuteczniej niż przywódcy świeccy, więc ich samotność była tylko swoistą formą działania na wspólnotę. Ogromną, choć bardzo cichą rolę grała w rodzinie Marmionów matka, coraz większą też – cztery córki, starsze od wszystkich żyjących synów i w dużej mierze kształtujące ich psychikę. Trzeba zresztą dla całości obrazu wspomnieć także ukochaną ciotkę Katarzynę, przyrodnią siostrę ojca, która mieszkała u Marmionów i pomagała im wychowywać dzieci. Józef po takiej dawce kobiecej dobroci nie będzie nigdy bał się kobiet, ani jako kapłan, ani jako mnich; będzie je rozumiał i wspomagał. Zresztą także na drodze duchowej własne siostry stały się dla niego przykładem w ostatecznym wyborze: bez niczyjego bowiem planu czy nacisku aż trzy z nich zosta-

ły zakonnkami. Dwie starsze, Liza i Flora, podjęły tę decyzję jeszcze w czasie, gdy Joe był w szkole; trzecia, najmilsza mu i najbliższa wiekiem, Róża, z którą rozumiał się zawsze najlepiej, poszła za nimi, gdy on już był w seminarium.

Naukę szkolną zaczął w roku 1868. Może to wtedy właśnie zapisał się do stowarzyszenia Dzieci Maryi, co w jakimś stopniu musiało wpłynąć na jego bardzo później żywe nabożeństwo do Matki Bożej. Chodził najpierw do najbliższej szkoły, prowadzonej przez augustianów, ale już w roku 1869 – roku rozpoczęcia Soboru Watykańskiego Pierwszego – przeniesiono go do gimnazjum prowadzonego przez jezuitów. Kiedy je kończył w wieku piętnastu lat (1873), był ze względu na swoje wybitne zdolności prymusem, uprawnionym do stypendium w seminarium diecezjalnym; ale był także według oceny swoich wychowawców tak wyraźnie obdarzony powołaniem zakonnym, że prowincjał osobiście zaproponował mu przyjęcie do nowicjatu jezuitów. On sam na temat swego powołania miał w tym okresie, jak się wydaje, zdanie zmienne. Czasem potrafił posuwać chęć naśladowania Chrystusa do wyżyn dzieciennego bohaterstwa – czasem znowu buntował się przeciw najprostszym praktykom religijnym i deklarował brak jakiegokolwiek pociągu do pobożności. Normalny kryzys wzrostu: gdybyśmy tego o nim nie wiedzieli, wyglądałby na świętego z obrazka. Przyszła jednak wkrótce chwila, w której pod wpływem lektury i (jak później powie) przypadkowego pobytu w jakimś klasztorze, nie wiadomo: z wizytą czy na reko-

lekcjach – postanowił oddać się całkowicie Bogu, ale właśnie sposób tego oddania nasuwał kolejny problem. Sam Józef zapragnął wtedy życia zakonnego, i to by się zgadzało z propozycją jego wychowawców, ale zdaje się, że bardzo się nie zgadzało z chęciami Williama Marmiona... który chciał mieć syna księdza, a nie zakonnika. Pod wpływem ojca chłopiec zgłosił się więc do seminarium w Clonliffe (dzielnica Dublina) i po rozmowie z arcybiskupem Cullenem, który również namawiał go do wejścia raczej w szeregi kleru diecezjalnego niż zakonnego, zdecydował się oficjalnie na taką drogę. Jeszcze przyszła ostatnia burza uczuć w przeddzień wstąpienia; biografowie podejrzewają, że w tym decydującym momencie Marmion, jak to najczęściej bywa na takim progu, zakwestionował w ogóle swoje powołanie duchowne, ale jest równie prawdopodobne, że przeżył atak skrupułów: przecież w swym przekonaniu mniej miał dać Bogu z siebie jako ksiądz diecezjalny niż dałby jako zakonnik. Zasięgnął wtedy rady jednego ze swych licznych przyjaciół, a radę dostał taką: „Skoro już jesteś przyjęty do seminarium, to miej odwagę spróbować; a gdybyś po próbie uznał, że to nie twoje miejsce, miej odwagę odejść”. Więc poszedł i spróbował.

## KLERYK

W seminarium, do którego wstąpił w styczniu 1874 roku, Marmion znalazł się ponownie we wspólnocie, bardzo podobnej do jego pierwszej wspólnoty,

rodzinnej. Miał tam spędzić sześć bardzo szczęśliwych lat. Rygoru nie bał się, gdyż po pierwsze, przywykł do niego w domu, po drugie – nie planował niczego, co by było z tym rygorem sprzeczne, po trzecie zaś, życie seminaryjne przypominało pod niejednym względem zakonne, o którym w głębi duszy nadal marzył. Może jedyną w praktyce trudnością były godziny przepisowego milczenia, ale i na to znalazła się rada w formie umowy z najbliższymi kolegami. Trafił poza tym na wspaniałych wychowawców i wyjątkowo ciekawy zestaw kolegów; jego przyjaciele z lat seminaryjnych mieli wyrosnąć na filary Kościoła, co im nie przeszkadzało (ani wtedy, ani potem) w zachowaniu typowo irlandzkiego poczucia humoru. Pośród stałych tematów żartów w tej gromadzie znalazły się fakty, że gruby Joe więcej błędów ortograficznych robi w rodzimej angielszczyźnie niż w łacinie i z nadmiaru świętości wybiera się po kolei do każdego zakonu, którego przedstawiciel zjawi się w seminarium z rekolekcjami lub konferencjami... Zdaje się, że te pomysły wybijał mu kolejno a cierpliwie z głowy ojciec duchowny seminarium, ks. John Gowan, sam zresztą zakonnik (misjonarz św. Wincentego), człowiek głębokiej pobożności i jednocześnie świetny psycholog, zdolny odróżnić szczenięcy entuzjazm od autentycznego powołania.

Zauważmy, że ta druga życiowa wspólnota Marmiona była dla niego równie naturalna jak pierwsza: wszystko to byli rodacy, w dodatku równie weseli jak on i równie szczerze szukający dróg poznania Boga. Łatwo mu było ich rozumieć i kochać; od dziecka zresztą

miał wokół siebie mrowie przyjaciół. Dopiero później miał stanąć przed problemem, jak rozumieć i kochać ludzi o inaczej ukształtowanej psychice.

Na razie więc wszedł bez większych problemów na drogę młodzieńczych odkryć. Zgodnie z programem nauki seminaryjnej, która podaje filozofię i logikę na początku, teologię zaś dopiero potem, przedmiotem owych odkryć były najpierw podstawowe narzędzia myślenia, później zaś fakt, że dają się one zastosować do Objawienia Bożego. Jakże porywające są te odkrycia dla kogoś, kto dostał od Boga zarówno łaskę szukania Go, jak i żywą, domagającą się pogłębienia umysłowość! Marmion pasjonował się nauką o Bogu, gdyż coraz bardziej pasjonował się Bogiem. Oczywiście nie wszystko od razu układało się w spójną całość; na przykład obraz Boga, wyrobiony z początku na podstawie samych tylko wykładów filozoficznych, domagał się uzupełnienia i rozwinięcia, którego filozofia dać nie mogła. Przyszło ono poprzez słowa Ewangelii, a ten moment pozostał w pamięci Marmiona jako jeden z duchowych przełomów:

Kiedy ukończyłem kurs filozofii, skłonny byłem widzieć w Bogu kogoś w rodzaju tyrana. Ale kiedyś modliłem się pod krzyżem i zdawało mi się, że Zbawiciel mówi do mnie: *Nikt nie może mieć większej miłości* (J 15,13)... i że dodaje: *Ja i Ojciec jedno jesteśmy* (J 10,30). *Ta moja miłość jest tylko odbiciem Ojca.* – Od tej chwili zawsze widziałem Boga jako Miłość<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> M. TIERNEY, *Dom Columba Marmion*, Dublin 1994, 25.

Oczywiście nauka teologii mogła tylko pogłębić i uzasadnić to przekonanie. – Inne podobne przeżycie spotkało go kiedyś w drzwiach sali wykładowej, z której właśnie wychodził: moment iluminacji, błyskawiczne doświadczenie nieskończoności Boga, pobudzające do adoracji, która też odtąd była jego zasadniczą postawą duchową. To wszystko jednak wcale nie znaczy, żeby automatycznie stał się dojrzały ponad swój wiek; przeciwnie, miał na przykład całą skłonność żółtodzioba do pouczania bliźnich, skłonność płynącą z nieświadomego założenia, że tego, co on właśnie odkrył, nikt inny nie odkrył przed nim. Najzabawniej wyszło to na jaw, kiedy kleryczek zaczął z przejęciem instruować własnego ojca o istnieniu doskonałej praktyki modlitewnej, polegającej na częstym uświadamianiu sobie obecności Bożej; i okazało się, że ojciec nie tylko tę świadomość, ale i stałe ofiarowywanie Bogu samego siebie praktykuje gorliwie od lat...

Pan William Marmion przeżywał wtedy swoje najradośniejsze dni. Miał w seminarium dwóch synów; z tych Joe rokował świetne nadzieje, a Mateusz, który wstąpił w roku 1877, jeszcze nie zdążył dojść do przekonania, że to pomyłka. Z córek najstarsza była zamężna, wszystkie trzy pozostałe – już w klasztorze Miłosierdzia w Clonakilty na południowym wybrzeżu Irlandii. W domu mieszkał jeszcze tylko przedostatni z synów, Frank, którego przyszłość pozostawała problemem z racji jego słabego zdrowia. Dochodząc dopiero do sześćdziesiątki, rodzinny patriarcha czuł, że nie zmarnował życia; a był na to poczucie czas najwyższy,

gdyż życie dobiegało kresu. William Marmion zmarł 4 kwietnia 1878 roku. Poza stratą uczuciową, którą głęboko odczuła cała rodzina, śmierć ta stała się dla jego synów powodem problemów materialnych, gdyż zabrakło tego, który dotychczas rodzinę utrzymywał i bez którego zarobków nawet dwie osoby, wdowa po nim i jedyny pozostały w domu syn, znalazły się w finansowych tarapatach. W dodatku już w następnym roku Mateusz ostatecznie uznał, że powołania kapłańskiego nie ma, opuścił seminarium i postanowił zostać lekarzem; potrzebował więc także pomocy. Józef rozporządzał tylko oszczędnościami ze swego stypendium; odtąd stały się one jego wkładem w rodzinne finanse. Już zresztą przedtem umiał rozporządzać nimi ofiarnie i rozglądać się za cudzą potrzebą.

Tymczasem jednak uczył się dalej z nie słabnącym entuzjazmem i z tak dobrymi wynikami, że jesienią roku 1879 został wytypowany na dalsze studia do Rzymu. Dotarł tam nieco przed Bożym Narodzeniem; czas, który tam miał spędzić, nazwie później najszcześniejszym okresem swego życia, i niewątpliwie był to czas dalszego intensywnego rozwoju umysłu i ducha pod kierownictwem wielkich ówczesnych mistrzów, oczywiście znowu w gromadzie kolegów podobnie usposobionych, i z dodatkiem tego wszystkiego, co sama już obecność w Rzymie potrafi dać człowiekowi kochającemu Kościół i jego świętych. A w dodatku był to Rzym Leona XIII, obranego w lutym 1878 roku; Rzym pełen nowych impulsów myślowych. Właśnie odkryto tam na nowo tomizm po wiekach nieuwa-

gi, i nowy papież poświęcił mu już specjalną encyklikę (*Aeterni Patris*); żywe zainteresowanie historią miało w najbliższym czasie doprowadzić do otwarcia Archiwum Watykańskiego dla wszystkich badaczy; wreszcie widoczne było wielkie ożywienie w dziedzinie nauk biblijnych, co również miało zaowocować kilkanaście lat później specjalną encykliką papieską (*Providentissimus Deus*) o studiach biblijnych, i utworzeniem do tych studiów specjalnej komisji naukowej.

Marmion mieszkał w Kolegium Irlandzkim, a wykładów słuchał w Kolegium Kongregacji Rozkrzewiania Wiary. Jego studia objęły pogłębienie dwóch działów teologii, mianowicie dogmatyki i biblistyki. Dogmatykę wykładali mu rzymscy tomiści, tacy jak Francesco Satolli, przy których zafascynował się myślą i metodą św. Tomasza z Akwinu: ta fascynacja miała mu pozostać do śmierci. W biblistyce trafił na wykłady specjalisty od św. Pawła, Ubaldo Ubaldiego, który zrobił na nim takie wrażenie, że również do śmierci Marmion znał listy Apostoła na pamięć wraz z całą ich problematyką; będzie nieraz zadziwiał słuchaczy łatwością cytowania. Na uczelni zbierał wszystkie możliwe nagrody i odznaczenia, czym się specjalnie nie przejmował; o wiele ważniejsze było to, że wreszcie osiągnął wiek wymagany do święceń. Udzielono mu ich w Rzymie wiosną roku 1881, kolejno: tzw. niższe święcenia w lutym, subdiakoniat w marcu, diakonat w kwietniu... Do kapłaństwa wciąż jeszcze nie miał ustawowych dwudziestu czterech lat, ale zwierzchnicy Kolegium otrzymali dla niego dyspensę i rektor (będący



zarazem tytularnym biskupem) udzielił mu święceń kapłańskich z dziesięciomiesięcznym przyśpieszeniem, dnia 16 czerwca 1881.

## ORDO MONASTICUS

Pierwszą rzeczą, którą Marmion zrobił po święceniach, danych mu po to, by stanął do pracy duszpasterskiej w diecezji – był powrót do dawnych marzeń o życiu zakonnym. Po jezuitach, pasjonistach i podobno wielu innych jeszcze zakonach, do których poprzednio chciał wstąpić, przyszła teraz kolej na benedyktynów. Już w roku 1880, kiedy podczas wakacyjnej wyprawy z trzema swymi rzymskimi kolegami nocował na Monte Cassino, w klasztorze założonym przed wiekami przez samego św. Benedykta – oznajmił im rano, że tu zostaje, już od razu, albo jeszcze prędzej; uległ jednak perswazji najstarszego z towarzyszy, kiedy ten przypomniał mu, że takie decyzje (rozumiesz, szalony Celcie?) uczciwy kleryk podejmuje za pozwoleniem swoich zwierzchników, a nie na sposób, o którym czytać można w żywotach świętych. Miesiąc później mógł Marmion w Rzymie porozmawiać z własnym arcybiskupem, ten zaś nie powiedział mu ani *tak*, ani *nie*; kazał zastanowić się jeszcze, poczekać... W Irlandii nie było wtedy benedyktynów poza przygarniętą chwilowo grupą mnichów francuskich, wygnanych krótko przedtem z własnego kraju przez tamtejsze nowe prawa antykościelne i nie przyjmujących w tej tymczasowej sytuacji kandydatów do nowicjatu. Zgoda na wstąpie-

nie ks. Marmiona do tego właśnie zakonu oznaczałaby więc jego wyjazd na stałe z Irlandii, czyli stratę kogoś tak obiecującego dla kraju; a zawsze przecież można było mieć nadzieję, że ten bardzo święty i równie stuknięty młody ksiądz, jeżeli nawet nie wytrwa w diecezji, to przynajmniej zapali się za kilka miesięcy do jakiegoś innego zakonu, który w Irlandii *ma* domy. Więc niech na razie poczeka, przyjmie święcenia...

Ani arcybiskup MacCabe, ani nawet sam Marmion nie mógł oczywiście wiedzieć, że tym razem to już nie było chwilowe młodzieńcze zauroczenie, tylko autentyczne wezwanie Boże. Każdy zakon potrzebuje swoich świąteł i ma prawo co jakiś czas otrzymać nowe, toteż wolno mniemać (skoro już znamy dalszy bieg wydarzeń), że Bóg rzeczywiście przeznaczył tego właśnie irlandzkiego kleryka na wielkie światło benedyktyńskiego monastycyzmu. Miał on też wkrótce znaleźć się w samym centrum ówczesnego przyśpieszenia historii tego zakonu, a centrum tym nie okazało się Monte Cassino, choć to zakonu kolebka, tylko nowe fundacje w centralnej Europie.

Przypomnijmy od razu, że właściwie o „zakonie” benedyktyńskim mówić można tylko w sensie analogicznym do późniejszych form życia zakonnego, to jest do instytucji scentralizowanych, kierowanych każda przez jakiś własny, jeden na cały świat ośrodek władzy. Reguła św. Benedykta, napisana w wieku VI, nie zna jeszcze takiego stopnia organizacji, a chociaż klasztory według niej żyjące łączyły się nieraz, i to już od wczesnego średniowiecza, w związku zwane kongregacjami

– do dzisiaj podstawową rzeczywistością w świecie benedyktyńskim jest nie *zakon*, ale pojedynczy klasztor, choć klasztor taki najczęściej należy do jakiejś krajowej lub międzynarodowej kongregacji. Poza tym trzeba przypomnieć, że w końcu XVIII wieku zaczął się w Europie czas bardzo intensywnego kasowania zakonów przez wszystkie rządy, nawet nie koniecznie wyrosłe z akcji lub ducha rewolucji francuskiej; poszczególne kraje miały swoje własne okresy i metody tej akcji, niemal wszędzie jednak prędzej czy później doprowadziła ona do zaniku większość zakonów. Oczywiście benedyktynów objęło to także. Gdzie lokalna polityka antykościelna zelżała, tam zakony te po kilkunastu latach przerwy odradzały się później na nowo: czy to z niewielkiej resztki braci, jaka jeszcze w kraju została, czy przez sprowadzanie zakonników z innego kraju, w którym akurat byli liczniejsi, czy też dzięki grupkom entuzjastów, którzy wybrany zakon wskrzeszali od zera, zauroczeni jego regułą, ale bez otrzymania formacji przez jego żywą tradycję. Każda z tych metod odrodzenia miała swoje dobre i złe strony, których tu nie potrzeba referować: trzeba tylko podkreślić, że zwłaszcza w wypadku wskrzeszenia zakonu od zera, ogromnego znaczenia prawnego i praktycznego nabierała *interpretacja* prastarego tekstu reguły: interpretacja płynąca w każdym wypadku z innego zestawu doświadczeń lokalnych, z osobistych preferencji i akcentów grupy wskrzeszającej, nawet w jakiejś mierze z cech charakterystycznych dla jej narodowości. Druga fala prześladowań, która przetoczyła się przez wiele

krajów europejskich pod sam koniec XIX wieku, nie zniszczyła już tych nowo powstałych wspólnot, tylko je częściowo przemieściła, przetasowała na krótkim wygnaniu, i faktycznie w ostatecznym rozrachunku umocniła i rozmnożyła.

Oczywiście benedyktynów całe to zjawisko objęło także, zwłaszcza w krajach położonych na północ od Alp. Prawie równo pół wieku przed święceniami Marmiona, w roku 1833, miało miejsce we Francji wskrzeszenie starodawnego opactwa w Solesmes, zniesionego jeszcze podczas rewolucji; wskrzeszenia tego dokonał ksiądz diecezjalny, Prosper Guéranger, którego działalność miała szybko doprowadzić do powstania całej kongregacji klasztorów, żyjących według jego interpretacji reguły. Trzydzieści lat później podobna historia rozgrywa się w Niemczech: mianowicie w roku 1863 dwaj bracia nazwiskiem Wolter, kapłani diecezjalni, przyjąwszy zakonne imiona Maur i Placyd (są to imiona dwóch najlepiej znanych uczniów św. Benedykta) i za wyraźną zachętą papieża Piusa IX, osiedli w starym, ale pustym od 1802 roku klasztorze po-augustiańskim w Beuron, dając także początek kwitnącej kongregacji. Monastycyzm benedyktyński przełomu XIX i XX wieku będzie właściwie zdominowany przez te dwie nowe kongregacje, beurońską i solesmeńską; wprawdzie we Włoszech trwała nadal i kwitła stara kongregacja kasyneńska, wprawdzie była też nowszej daty kongregacja z centrum w Subiaco, oparta na starych klasztorach włoskich, ale rozszerzająca się szybko na Europę północną, wprawdzie tu i tam przetrwa-

ły inne, najczęściej między sobą nie powiązane stare klasztory – ale większość Europy dopatrywała się autentycznego ducha benedyktyńskiego właśnie w tej nowej fali.

A była ona rzeczywiście nowa. Zestawmy: Marmion był już na świecie, miał pięć lat, kiedy bracia Wolter osiedli w Beuron; miał lat dziesięć, kiedy w roku 1868 Pius IX erygował kongregację z centrum w Beuron; miał jedenaście, kiedy do Beuron wstąpił Feliks de Hemptinne, Belg i niedawny żołnierz gwardii papieskiej, w niedalekiej przyszłości najważniejsza postać zakonu; miał czternaście, kiedy opat Maur Wolter postanowił dokonać nowych fundacji w Belgii i w Anglii. Reguła benedyktyńska liczyła sobie wówczas już tysiąc trzysta lat, ale ta nowa fala przeżywała właśnie okres bohaterskich początków. Najlepszym architektonicznym symbolem połączenia starego z nowym stał się klasztor tej belgijskiej fundacji, zbudowany w stylu gotyckim... w roku 1873. (Marmion kiedyś, już jako opat i w szczytowym okresie swojej tuszy, będzie pokpiwał, że tu jest gotycki klasztor z romańskim opatem). Byłoby to w owych czasach nie do pomyślenia, osadzić mnichów w nowoczesnej, choćby najbardziej funkcjonalnej architekturze; mnisi *musieli* wyglądać na kawałek wyidealizowanego średniowiecza, a jeśli gdzieś nie mogli pobudować się od nowa we „właściwy” sposób, gdyż dostali na przykład gotowy klasztor zbudowany, lub w ciągu swoich dziejów przebudowany, w stylu barokowym – przeprowadzali na siłę jego gotycyzację. Fundator belgijski zatrudnił więc jako architekta czołowego

krajowego specjalistę od neogotyku, żeby klasztor wyglądał jak wyjęty z wieku XIII. Ale interpretacja reguły, jakkolwiek w pojęciach interpretatorów stanowiąca powrót do źródeł, była żywym odbiciem pojęć i tęsknot XIX wieku. Nic dziwnego, że ją współcześni tak powszechnie cenili.

Odrodzenie się życia benedyktyńskiego było jednak czymś większym niż wskrzeszeniem jednego więcej zakonu. Łączyło się ono z ponownym odkryciem pewnych wartości życia chrześcijańskiego, które były od kilku stuleci traktowane pobieżnie, słabo rozumiane, spychane na margines duchowości katolickiej; trwały zaś nadal siłą prastarej tradycji właśnie w środowiskach monastycznych, we wspólnotach reguły św. Benedykta, i mało gdzie poza tym. Do tych wartości należy choćby sposób czytania Pisma Świętego, dla nas dziś oczywisty, ale tak jest dlatego, że mamy już za sobą stulecie biblijnej odnowy. Poprzednio przez kilka wieków mnisi, owszem, czytali Biblię po staremu jako spójną całość, większość jednak katolickich teologów w praktyce skłonna była traktować ją raczej jako zbiór cytatów, między sobą luźno powiązanych, a im samym potrzebnych do ich własnych syntez. Drugą zaś taką wartością była liturgia. Już w późnym średniowieczu pojawiło się przekonanie, że psalmodia i cała w ogóle liturgia Kościoła to „modlitwa ustna”, niższa i gorsza od „modlitwy myślniej”, choć nikt by nie potrafił udowodnić, dlaczego właściwie nie może myśl towarzyszyć ustom. Duchowość ukształtowana po Soborze Trydenckim wyciągnęła z tej skali wartości logiczne wnio-

ski: nawet w zakonach, zwłaszcza nowo zakładanych, liturgię ograniczano do minimum lub spychano do rzędu praktyk prywatnych. Oczywiście tym gorzej ją potem rozumiano, zapominając, że po pierwsze, przez liturgię właśnie wyraża swoją modlitwę nie ta czy inna osoba lub nawet wspólnota, ale Kościół, wraz ze swą Głową, Chrystusem; a więc niezależnie od czyichkolwiek odczuć lub ich braku, jest to modlitwa obiektywna, modlitwa Chrystusa, w którą wciągnięta jest zjednoczona z Nim ludzkość. I po drugie, że systematyczny udział w liturgii Kościoła daje chrześcijaninowi stały i pełny pokarm duchowy, złożony z tego, co najcenniejsze: z tekstów biblijnych i komentarzy Ojców, a wszystko w takim układzie, by móc w kolejności roku liturgicznego uczcić i rozważyć całą historię i całe dzieło naszego zbawienia. Kiedy po założeniu Solesmes opat Prosper Guéranger, wielki liturgista, zaczął te prawdy uświadamiać katolikom francuskim, stało się to dla nich odkryciem niemal kopernikańskim, chociaż chodziło przecież tylko o przypomnienie czegoś, co wiadano dawno. Beuron przejęło tę myśl, szerząc ją z kolei w Niemczech, i wzbogacając o pogłębione studium Ojców Kościoła jako źródeł liturgii i wiary. Oczywiście odkąd raz idea została rzucona i uzasadniona, liturgistyką zaczęły się powoli przejmować także inne poza benedyktyńskimi środowiska w Kościele, niemniej benedyktynom przypadła nadal rola pionierów i głównych inspiratorów ruchu. A wspomniana już tu nowa, belgijska fundacja klasztoru w Beuron miała niemal od początku dać swój niesłychanie cenny wkład: to tutaj

właśnie jeden z mnichów, Gerard van Caloen, wpadł na pomysł przetłumaczenia mszału na języki narodowe, na początek oczywiście na język francuski, by dać wiernym do ręki całe bogactwo przynajmniej mszalnej liturgii (jeśli już nie brewiarza) w dwujęzycznym tekście: kolumna łacińska i kolumna francuska. Stąd to rozeszły się na cały świat popularne mszaliki.

Miejscowość nazywała się Maredsous.

Klasztor powstał zresztą na skutek typowego „zbiegu okoliczności”. Feliks de Hemptinne – w zakonie zwany Hildebrandem – już wstępując do Beuron, marzył o sprowadzeniu tamtejszych benedyktynów do Belgii; fundację jakiegoś klasztoru męskiego na swoich ziemiach planowała można i zamożna rodzina Desclée; inny zaś był gwardzista papieski, dawny kolega Hemptinne’a, został właśnie doradcą finansowym tej rodziny. Łatwo więc było wszystkim zainteresowanym porozumieć się ze sobą; opatowi Maurowi zaś tym łatwiej było się zgodzić na ich plany, że rząd Bismarcka wdrażał już w Niemczech politykę Kulturkampf i można się było spodziewać wygnania, toteż należało zadbać o jakieś schronienie za granicą. Pierwsza grupa, złożona z siedmiu ojców i braci, przyjechała do Maredsous w roku 1872 i zamieszkała w zamku fundatorskiej rodziny, czekając na budowę właściwego klasztoru. Już w czerwcu następnego roku mogli się przenieść do pierwszego gotowego skrzydła; budowa klasztoru miała jednak trwać jeszcze do roku 1878. Tymczasem w roku 1875 benedyktynów rzeczywiście wygnano z Niemiec, choć miało się to okazać wygna-



nie krótkotrwałe, tylko na trzynaście lat; część wspólnoty z Beuron schroniła się wtedy do Austrii, część do Anglii, część oczywiście do Maredsous. W sumie było tu więc mnichów trzydziestu, głównie Niemców (nie licząc ośmiu przyjętych już miejscowych nowicjuszy), kiedy w roku 1878 klasztor otrzymał oficjalnie status opactwa z ojcem Placydem Wolterem w roli pierwszego opata. Jednym z pierwszych jego starań było rozpoczęcie budowy klasztornej kościoła, którą ukończono latem 1881 roku. Miesiąc mniej więcej po święceniach kapłańskich Marmiona.

Tymczasem Marmion w Rzymie miał przed sobą jeszcze rok studiów. Jego rosnąca determinacja, by zostać mnichem, przybrała już kształt konkretny: pociągało go teraz nie Monte Cassino, ale misyjne opactwo „Nowa Nursja”, założone niedawno w Australii. Idea misyjnego monastycyzmu nie mogła nie przemówić do duchowego spadkobiercy iroszkockich świętych! Zaczął więc nawiązywać stosowne kontakty, a zgodnie z przysłowiem *Trafił swój na swego* – zaprzyjaźnił się z innym rzymskim studentem, młodym księdzem belgijskim, który miał podobne plany i chciał się do ich realizacji przygotować w nowicjacie benedyktyńskim w Belgii. Tak się złożyło, że ów ksiądz, Józef Moreau, mógł już w czerwcu 1881 roku jechać z Rzymu prosto do Maredsous, do nowicjatu; Marmion zaś musiał miesiąc później pogodzić się z faktem, że jego zdrowie nie wytrzyma dłużej rzymskiego klimatu i że trzeba posłuchać lekarza, zrezygnować z dalszych studiów i z rzymskiego doktoratu, a wracać do domu. Wyjechał

z Rzymu pod koniec lipca, postanawiając odwiedzić po drodze owego przyjaciela.

Maredsous leży na południe od Namur, w lesistej i do dziś stosunkowo pustej południowej części Belgii, z dala od głównych szlaków komunikacyjnych. Niełatwo było dotrzeć tam w owym czasie: wymagało to licznych przesiadek, wreszcie podróży boczną linią kolejową, a na końcu – przejścia kilkunastu kilometrów na piechotę. Marmion miał walizki, ale miał też (jak to on) szczęście: podwiózł go stary wieśniak, mówiący gwara walońską, z którym też jego pasażer od razu zawarł (jak to on) trwałą przyjaźń. Był już wieczór, kiedy dotarli do celu. I wtedy miało miejsce zjawisko dobrze znane ludziom powołanym do życia zakonnego, dla innych zaś do wytłumaczenia trudne: owo absolutne i pełne przekonanie na pierwszy rzut oka, że *tu mam być*, tu Bóg mnie wzywa. Nie tylko do tego zakonu, ale na to konkretne miejsce. I nie dlatego, że strzelisty kościół z błękitnego miejscowego kamienia (jak pamiętamy, właśnie tydzień wcześniej wykończony) tak pięknie o zachodzie rysuje się na niebie; ani nawet nie dlatego, że po wejściu w krużganki ogarnia człowieka niemal dotykalnie atmosfera skupienia i modlitwy. Po prostu nagle wiadomo, że wszystko dotąd było tylko poszukiwaniem, a teraz jest pewność. Zaprzeczyć tej pewności znaczyłoby zdradzić. Nie w ojczyźnie, nie na Monte Cassino, nie w Australii, nie gdziekolwiek indziej na szerokim świecie: *tutaj*.

Niemniej Marmion, kapłan diecezji dublińskiej, nie mógł zostać *tutaj* bez pozwolenia swojego ordynariusza;

i nikt mu już tego tym razem nie musiał przypominać. Mógł tylko zanocować, pogwarzyć z przyjacielem, zgłosić opatowi swoją kandydaturę jako zależną ostatecznie od decyzji arcybiskupa – i jechać do Dublina.

## WIKARY

Po powrocie i po krótkim pobycie w szpitalu (mógł to być silny nawrót jego rzymskiej malarii) Marmion został posłany jako wikariusz do miasteczka Dundrum na południe od Dublina. Trafił tam w połowie września 1881 roku. Proboszcz, ks. Hickey, był mu od dawna dobrze znany jako stary przyjaciel jego rodziny; to on zresztą skłonił arcybiskupa do rzucenia młodego księdza od razu na głęboką wodę, zamiast zatrzymać go, jak pierwotnie było w planie, w Kurii w roli sekretarza. Marmion znalazł się więc nagle w środowisku i w sytuacji, których dotychczas z doświadczenia nie znał: już nie duży wprawdzie, ale mniej lub więcej zamknięty krąg rodziny albo uczelni – tylko z jednej strony samotność (mieszkał w wynajętej kwaterze), z drugiej zaś wspólnota, obejmująca w praktyce całe miejscowe społeczeństwo i całe mnóstwo miejscowych instytucji, a wszyscy członkowie tej wspólnoty i tych instytucji mieli prawo czegoś żądać właśnie od niego. Spowiadać i głosić kazania, odwiedzać chorych po domach, służyć jako kapelan pobliskiego klasztoru sióstr Sacré-Coeur i miejscowego szpitala dla chorych psychicznie, uczyć religii, udzielać sakramentów, ale także wszelkich rad i pomocy na zawołanie, kierować akcją charytatyw-